



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Grażyna Pudełko

W oczekiwaniu na wolność

Urodziłam się w Chełmie w 1933 roku i tam też mieszkałam aż do 1951 roku, tzn. do otrzymania matury w Liceum Ogólnokształcącym. Mimo że w chwili rozpoczęcia wojny miałam 6 lat, doskonale pamiętam wiele zdarzeń z okupacji niemieckiej. Postaram się opisać je tutaj tak, jak utkwiły one w mojej pamięci na zawsze. W tym co piszę może być pewien chaos co do chronologii wydarzeń, niemniej wszystkie te fakty miały miejsce w moim życiu podczas okupacji. Nie są one zarejestrowane w mojej pamięci jako jeden nieprzerwany ciąg, lecz jako poszczególne obrazy. I w ten sposób postaram się je opisać. Szczególnie silnie utkwiły mi w pamięci różne uczynki otaczającego mnie świata dorosłych, które dopiero po latach mogłam ocenić jako przynoszące tym ludziom ujmę i wstyd.

Sam początek wojny widzę zupełnie wyraźnie do dziś, ponieważ był on dla mnie taki dziwny, prawie nierealny, ale tak było naprawdę. Otóż chyba już na kilka dni przed samym rozpoczęciem wojny rodzice umieścili mnie i młodszego brata u znajomych z pobliskiej wsi. Tamtejsi mieszkańcy spodziewali się już chyba czegoś, bo pamiętam jak oklejali wszystkie szyby paskami papieru. Podobno miał to być sposób, aby szyby nie wyleciały podczas bombardowania. Oczywiście okazał się zawodny. Matka nie mogła być z nami, bo jak dowiedziałam się później powołano ją do szpitala wojskowego jako sanitariuszkę, gdyż miała przygotowanie do tego zawodu. Tam na wsi miałam koleżankę w moim wieku (6 lat), z którą zawsze byłyśmy razem. Wtedy też byłyśmy bardzo zajęte małym kociakiem, którego pleć chciałyśmy koniecznie ustalić. W tym celu zabrałyśmy go i ukryłyśmy się z nim w stogu siana. Tam zaglądałyśmy biednemu kotu pod ogon chcąc stwierdzić czy to on czy ona. Stóg był oddalony od domu chyba 100 m i stał po drugiej stronie drogi. Pamiętam, że było wtedy bardzo ciepło i zupełny spokój dookoła. I nagle usłyszałyśmy jakiś huk i chrzęst. Odwróciłyśmy wobec tego naszą uwagę od kotka i poprzez siano zaczęłyśmy patrzeć na drogę. A na tej drodze ukazały się naszym oczom jakieś dwa żelazne pojazdy na gąsienicach i z lufami. Były to oczywiście czołgi, o czym wtedy nie wiedziałam, ale mniejsze niż te które widywałam później. Jechały niezbyt szybko, a przed nimi cofał się do śmiesznie przy tym tańcząc polski żołnierz uzbrojony w karabin z bagnetem. I tym bagnetem wyczyniał szybkie ruchy, chcąc zadać ciosy tym dwóm jadącym przed siebie czołgom. Oczywiście obraz ten szybko znikł nam z oczu i mogłyśmy w strachu wrócić do domu, gdzie czekała nas bura za włóczenie się. Oznajmiono nam przy tym, że właśnie zaczęła się wojna. Później było słychać głośnie strzały i w naszych oknach wyleciały wszystkie szyby, mimo oklejenia ich paskami z papieru. Odtąd pozwolono nam bawić się już tylko blisko w ogródku. Zaraz potem wróciła mama i opowiadała, że w mieście (Chełmie) toczą się walki i jest bardzo dużo rannych. Po kilku dniach musiało się tam uspokoić, bo wróciliśmy do naszego mieszkania. Ale tak zupełnie spokojnie to tam nie było. Często uciekaliśmy z miasta do

okolicznych osad bojąc się nocować w domu. Pamiętam dokładnie jeden z takich powrotów z ucieczki, gdy szliśmy wzdłuż małej wioski. Była to długa ulica, a po jej obu stronach stały domy zupełnie ciche, jakby wymarłe i puste. Ale na kłamce prawie każdego domu wisiał karabin, często przelamany na pół. Dorośli powiedzieli, że karabiny te zostały porzucone przez wycofujących się polskich żołnierzy, którzy rozproszyli się, bo nikt nimi nie dowodził. Polskie dowództwo uciekło po prostu za granicę, ratując przede wszystkim siebie i swoje rodziny, a kraj ojczysty zostawiając na pastwę losu. Później, jak już działania wojenne zupełnie się skończyły, widywałam często siedzących na chodniku polskich żołnierzy-inwalidów ubranych w strzępy mundurów, wyciągających ręce po jałmużnę. Obok nich przechodzili Niemcy, nie zwracając na nich uwagi.

Następne moje wspomnienie wiąże się z pobytem u babci, która mieszkała na małej, peryferyjnej ulicy (kierunek na Hrubieszów). Pewnego dnia rano okazało się, że cała ta ulica pełna jest rosyjskiego wojska i różnych pojazdów, chyba tylko konnych. Pamiętam dokładnie to wojsko ubrane bardzo dziwnie, w przeróżne mundury i często w wielkich czapach na głowach. W ten sposób do Chełma wkroczyła zupełnie po cichu Armia Czerwona i stała tam nie wiem ile czasu, ale chyba niezbyt długo. Chociaż mnie się wydawało, że wiecznie, bo zakazywano mi wtedy wychodzenia z domu. A nawet straszono, że mnie złapie taki w wielkiej czapie, jeśli nie będę jeść czerwonego barszczu, którego nie lubiłam. Myślę, że byli to chyba zupełnie spokojni ludzie, bo nie słyszałam aby zrobili komuś coś złego. Niektórzy z nich przychodzili do naszego mieszkania, aby dostać trochę wody. Jednego z nich często walała babcia nawet tym niechcianym przeze mnie czerwonym barszczem.

Którejś nocy, tak jak przedtem zjawili się ci Rosjanie w Chełmie i na naszej ulicy, po czym tak samo cicho odjechali. Dziadek rano powiedział, że teraz są znowu Niemcy w mieście. Później rodzice zabrali mnie od dziadków do siebie. Życie zaczęło się toczyć względnie normalnie. W 1940 roku zaczęłam chodzić do szkoły powszechnej, gdzie uczono nas z takiego ilustrowanego pisemka, które nazywało się chyba „Ster”, ale wiem, że miałam też jakiś elementarz. Wiem też, że w szkole kazano nam pić tran i zagryzać go chlebem z solą. Niemiecki lekarz robił nam też jakieś zastrzyki – chyba były to szczepionki przeciw durowi brzuszemu, na który ludzie wtedy często chorowali i umierali.

Jak w każdym chyba ówczesnym mieście, tak i w Chełmie Niemcy stworzyli getto dla ludności żydowskiej, której mieszkało tam bardzo dużo. Wiem, że sklepy przy typowo handlowej ulicy Lwowskiej prawie wszystkie należały do Żydów, domy również. Pamiętam też obrazek jeszcze sprzed wojny, gdy szłam z dziadkiem tą ulicą i było na niej pełno brodatych i pejsatych ludzi ubranych w czarne chałaty i małe czapeczki (mycki). Wielu z nich siedziało na chodniku trzymając nogi w suchym rynsztoku. Wszędzie gdzie było dużo Żydów dominował silny zapach czosnku, bo jedli go oni bardzo dużo jako ochronę przed chorobami. Również sprzed wojny pamiętam, że dorośli zakazywali mi chodzenia samej w tamte miejsca. Panowało bowiem przekonanie, że Żydzi łapią katolickie dzieci, aby wytaczać z nich krew w beczce nabitej kolcami i dodawać ją do wypiekanej przez siebie macy. Tak wzięłam sobie do serca te rady dorosłych, że pewnego razu, gdy szłam sama i Żydówka siedząca przed swoim sklepem zapraszała mnie do środka udałam, że tego nie widzę i prędko poszłam przed siebie. Bałam się jej. Jeszcze dziś widzę ją wyraźnie i pamiętam, że miała na głowie rudą perukę. Pewnie chciała mi dać cukierka.

Niemcy chcąc stworzyć getto dla Żydów musieli przenieść ich z całego miasta w jedno miejsce. Dlatego przesiedlali Żydów i Polaków jednocześnie. My mieliśmy to nieszczęście mieszkać tam, gdzie miało powstać getto. Zostaliśmy więc przesiedlili do żydowskiego mieszkania na I piętrze czynszowej kamienicy przy ul. Ogrodowej. Mieszkanie było dosyć ładne, ale miało nieczynną, zepsutą kanalizację i było tak zapluskwione, że pierwszej nocy o mało nas pluskwy nie zjadły. Na szczęście dosyć szybko rodzicom udało się pozbyć tych obrzydliwych insektów. Był tam duży kaflowy piec w ścianie między kuchnią a pokojem. Kolor miał bardzo ciemny, prawie czarny i pokryty był grubą warstwą czegoś dziwnego. Nie była to, jak nam się zdawało farba, lecz gruba warstwa brudu narosłego tam od pokoleń, którą ojciec długo zeskrobywał z pieca różnymi narzędziami. Mieszkanie odpluskwione, przy pomocy szarego mydła wyszorowane do czysta i odnowione, okazało się całkiem wygodne i ładne. Ponieważ nie wszyscy Żydzi zostali w tym samym czasie przemieszczeni do getta, wiele rodzin żydowskich mieszkało nadal przy tej ulicy – w naszym domu również. Pamiętam, że chodziłam do szkoły razem z ich dziećmi. Miałam wiele koleżanek Żydówek, od których dostawałam macę. Bardzo mi ona smakowała. Naprzeciw naszego domu była bożnica, w której modlili się sami mężczyźni.

Na Żydów, którzy jeszcze nie zostali przeniesieni do getta Niemcy urządzali często łapanki i gdzieś ich zabierali. Z tego okresu pamiętam taki obrazek. Pobiegłam rano do mojej koleżanki Żydówki, która mieszkała w małym parterowym domku, ale nie zastałam tam nikogo oprócz starej babki stale leżącej w łóżku. Teraz też leżała, ale miała przestrzelone oko i była martwa. Niemcy zastrzelili ją w taki sposób. Cała rodzina chyba zamierzała jeść śniadanie, bo na stole stały szklanki napełnione parującą herbatą.

W naszym domu mieszkał młody krawiec żydowski z żoną i niemowlęciem, który w tym czasie schronił się gdzieś z rodziną, a do moich rodziców przychodził przez jakiś czas po kryjomu w nocy po żywność. W pewnym okresie stało się to bardzo niebezpieczne, bo Niemcy grozili rozstrzelaniem całej

rodziny za udzielanie pomocy Żydom i ojciec powiedział mu, że już dłużej nie może mu pomagać. Wtedy krawiec zaczął grozić ojcu, że jak nie będzie mu dalej pomagał, to on na nas doniesie na Gestapo, bo jemu jest już wszystko jedno. Z taką groźbą nas zostawił i nie zjawiał się przez jakiś czas. Później okazało się, że został zastrzelony obok budynku żandarmerii niemieckiej, która znajdowała się na rogu naszej ulicy.

Wiele rodzin żydowskich ukrywało się wtedy przed Niemcami przy pomocy Polaków. Na łąkach niedaleko nas stała jakaś szopa należąca chyba do rolnika. Pewnego razu z dużej odległości widziałam kilkunastu żołnierzy niemieckich otaczających tę szopę i słyszałam strzały. Później, gdy już żołnierze odeszli, pobiegłam tam i zobaczyłam chyba kilkanaście ludzkich zwłok ułożonych rzędem obok siebie. Okazało się, że byli to Żydzi ukrywający się w tej szopie.

Po jakimś czasie Niemcy zlikwidowali getto, wywożąc wszystkich Żydów do obozów zagłady. Oczywiście na terenie getta pozostało dużo różnego dobra, którego właściciele nie mogli zabrać ze sobą. Wszystko to zostało rozkradzione przez Polaków. Całe getto było przez nich dokładnie splądrowane. Sama to zobaczyłam po jakimś czasie na własne oczy. Miałam ciotkę, której potrzebny był wtedy jakiś garnek niemożliwy do kupienia w sklepie. Postanowiła więc przynieść sobie ten garnek z tego już splądrowanego getta. Zabrała mnie tam ze sobą, bo uważała, że będzie jej rażniej w mojej obecności.

Pamiętam, że żadnego garnka nie znalazłyśmy, za to uciekłyśmy bardzo szybko, gdy w jednym pustym, splądrowanym mieszkaniu wiatr potężnie trzasnął okiennicą, co nam wydało się strzałem karabinowym. Tak więc uciekłyśmy z niczym, ale do dzisiaj pamiętam ten okropny widok getta. Splądrowane były wszystkie mieszkania, wszędzie fruwały pióra z rozprutych pościeli. Nie było tam już nic nadającego się do użytku, bo wszystko zostało wyniesione przez ludność polską.

Mieszkałiśmy przy ulicy, na rogu której znajdowała się niemiecka żandarmeria. Na następnej ulicy (Zacisze), równoległej do naszej, był dom publiczny dla Niemców (burdel). Nazywaliśmy go „Puf”. Był to ładny, drewniany dom, usytuowany w dużym ogrodzie, w którym rosły drzewa orzecha włoskiego rodzące dużo wspaniałych orzechów. Na rogu trzeciej ulicy, równoległej (Reformacka), w domu który należał do znajomej mojej mamy, mieściło się z kolei Gestapo. Ona sama mieszkała tam zresztą również w zupełnej zgodzie z tym „wysokim urzędem”. Obok żandarmerii przechodziło się na drugą stronę ulicy, aby nie wchodzić zanadto w oczy niemieckim wartownikom. Koło Gestapo oczywiście też. Ale na przykład do ogrodu przy burdelu my dzieci wchodziłyśmy zawsze, aby strącać z drzew te włoskie orzechy. Ja oczywiście też tam zawsze byłam. Okna burdelu (wysoki parter) były przeważnie szeroko otwarte i przez nie użytkownicy wyrzucali jakieś buteleczki po różnych miksturach, no i oczywiście zużyte prezerwatywy. Ale o tym, że tak się to nazywa dowiedziałam się oczywiście znacznie później. Wtedy uważaliśmy, że to chyba jakieś jelita zwierzęce i napelnialiśmy je piaskiem bawiąc się w sklep z kiełbasami. Ta moja zabawa skończyła się dopiero wtedy, gdy taką „kielbasę” z piaskiem przyniosłam raz do domu i zobaczył to ojciec. Od tego czasu oczywiście miałam zakaz chodzenia na te orzechy.

„Puf” był dla żołnierzy niemieckich. Nieraz stała ich tam kolejka długa chyba na 100 m. W rękach trzymali masło, chleb i inne wiktuały, którymi płacili „panienkom” za usługi. Co do tych „panienek”, to były to oczywiście Polki, wcale nie zniewolone przez okupanta do takiej pracy. Wiem o tym, bo w domu w którym mieszkałam właścicielka prowadziła mały sklepik spożywczy, a w nim często robiły zakupy te kobiety. Opowiadały, że im się podoba taka praca. Jedna z nich, bardzo ładna, mówiła nawet, że jest córką profesora z Łodzi. Były one zawsze bardzo kolorowo i krzykliwie ubrane i umalowane. Jeździły stale dorożkami po mieście, podkreślając w ten sposób swój wysoki status i standard życiowy. Musiały mieć też chyba wszystkie wszy. Widziałam raz w aptece, jak kupowały wielką butlę środka przeciwko tym insektom. Wtedy zresztą wszyscy je mieli. Często widziałam, jak ludziom w kościele po palcie na plecach spacerują duże, białe wszy. Te panny z burdelu stale się kłóciły ze strażakami, którzy wystawiali pod swoim miejscem pracy i nudzili się. Aby się rozerwać wymyślali pannom przejeżdżającym w dorożkach od najgorszych, a one nie były im oczywiście dłużne.

Było w tamtym czasie w środku miasta kino, które dla mnie było szczytem elegancji, szyku i bogactwa, bo przyozdobione było pięknymi złoceniami i dużą ilością różnych zasłon i kotar z bordowego pluszu. Kino to Niemcy zabrali dla siebie, a Polacy oczywiście nie mieli tam prawa wstępu. Ale ja mimo to obejrzałam tam wiele polskich filmów. Niemcy oglądali przeważnie polskie filmy z Jadwigą Smosarską. Oglądałam je oczywiście „na gapę”. Kino nie miało wentylacji i latem było w nim bardzo gorąco, a wtedy otwierano jedne drzwi na dwór. Widzowie zajęci byli oglądaniem tego co dzieje się na ekranie, a że zawsze było trochę wolnych miejsc, więc ja cichutko wślizgiwałam się do środka i oglądałam sobie spokojnie film do końca. Po zakończeniu seansu zawsze udało mi się wyjść z kina w tłumie, bez żadnych przygód. W domu oczywiście nic nie wiadano o tych moich eskapadach.

W Chełmie, jak wszędzie odbywały się też egzekucje na ludności polskiej. Przy murze cmentarnym niedaleko targowiska stała drewniana szopa. Szerszą ścianą była ona zwrócona do targowiska. Przy tej właśnie ścianie ludzie byli rozstrzeliwani przez pluton egzekucyjny. Niemcy wybrali to miejsce z powodu dużej liczby ludzi znajdujących się zawsze na targowisku, których zmuszali do oglądania wykonania „wymiaru kary”. Widok miał odstraszać od buntowania się przeciwko okupantowi.

Był też na peryferiach miasta, a właściwie już poza miastem w kierunku wsi Strupin obóz dla jeńców wojennych. Przebywali w nim chyba przeważnie Rosjanie. Przez miasto często były pędzone całe szeregi obdartych jeńców. My, dzieci zawsze starałyśmy się podać im pomidora, marchewkę lub jabłko, bo nic innego nie miałyśmy. To zresztą też było przeważnie ukradzione gdzieś w ogródkach. W tym obozie podobno palono więźniów, bo często nad miastem unosiły się gęste, ciemne chmury z dymu lecącego z tamtego kierunku. Powietrze wtedy było przesycone silnym, ostrym zapachem palonych grzybów. Widziałam po wojnie to miejsce, gdzie był obóz, ale wtedy były tam już tylko resztki dróg budowanych z drewnianych bali.

Niemcy na pewno byli potworni, ale słyszałam jak niektórzy chwalili ich za to, że w pierwszej kolejności uwolnili nas od różnych polskich, miejscowych złodziei, łajdaków i pijaków. W ten sposób przynajmniej z tej strony było bezpieczniej. Tyle, że w ramach tego „oczyszczania” zlikwidowali szpital dla psychicznie chorych w brutalny, nieludzki sposób – po prostu rozstrzeliwując pensjonariuszy. Chyba jednak musieli Niemcy mieć jakieś zalety, bo wiem że w Chełmie bardzo wiele kobiet utrzymywało z nimi bliskie stosunki. Były utrzymywane przez swoich kochanków i żyło im się bardzo wygodnie i dobrze, bez trosk materialnych. Jedna ze znajomych mojej mamy miała synka z niemieckim wojskowym, z którym żyła przez całą okupację. W domu naprzeciwko naszego mieszkał jakiś wyższy oficer, który za służącą i kochankę w jednej osobie miał bardzo ładną Żydówkę. Po jakimś czasie znikła. Widocznie wysłał ją do obozu.

W kamienicy, w której mieszkałam też były panie utrzymujące bliskie znajomości z Niemcami i stale było tam pełno niemieckich żołnierzy. Gdy jednej z nich przeszkadzał narzeczony, postarała się przy pomocy swoich protektorów umieścić go w obozie zagłady, z którego wrócił po jakimś czasie ciężko chory na gruźlicę i zaraz zmarł. Panią tę najczęściej odwiedzał niemiecki oficer, który mówił łamaną polszczyzną. Moim zdaniem był on bardzo piękny, bo był wysoki, czysty i miał kulturalny sposób bycia. Pewnego razu byłam w mieszkaniu tej pani, a właściwie jej matki (właścicielki domu), ukryta za dużym piecem i słyszałam, że pani ta czyni wymówki pięknemu oficerowi, że podobno Niemcy źle się do Polaków odnoszą, że biją nawet kobiety. On jej na to odpowiedział, że to nieprawda i zupełnie niemożliwe, a jeśli o niego chodzi, to nie uderzyłby kobiety nawet kwiatem. Nie wiem jak ta pani, ale ja oczywiście byłam święcie przekonana, że mówi on prawdę i że sam też jest idealny, dobry i bohaterski. Myślałam, że było to moje pierwsze „zakochanie”, chociaż obiekt „miłości” nie wiedział pewnie o moim istnieniu, tym bardziej, że miałam pewnie 7 lub 8 lat. Zaraz po wojnie pani ta zawarła równie bliskie znajomości z oficerami Wojska Polskiego w Lublinie, a za jednego z nich wydała się szybko za męża. Pamiętam jak huczne było to wesele, bo całe podwórze przy naszej kamienicy pełne było żołnierzy i różnych pojazdów. Natomiast mężem pani został pułkownik, Polak wychowany w ZSRR, który wraz z rosyjskim i polskim wojskiem przyszedł do Ojczyzny. Podobno znaleźli się wtedy jacyś „życiwi”, którzy starali się uświadomić męża co do przeszłości żony, ale najwidoczniej mu to nie przeszkadzało.

Inna pani również przy pomocy swoich znajomych Niemców pozbyła się niewygodnego męża, którego jej kochankowie umieścili w obozie, a dla niej załatwili prowadzenie hotelu przy głównej ulicy, oczywiście „Nür für Deutsche”. Po wojnie pani gdzieś się podziała, prawdopodobnie jak wszystkie inne wyjechała z Niemcami, natomiast jej mąż wrócił z obozu, ożenił się po raz drugi i pracował w kinie jako bileter.

Wszystkie te panie miały na pewno wiadome kłopoty z ciążami, ale i na to był tam sposób. Tym „sposobem” była inna, starsza pani, o której mówiono, że prowadzi „fabrykę aniołków”. Dopiero po wielu latach zrozumiałam o co chodziło w tej nazwie. Tak radzono sobie wtedy z aborcją, nie pytając żadnego Sejmu o zgodę. Nie martwiono się też, czy jest to zgodne z prawem.

Były to dla mojej rodziny bardzo ciężkie czasy. Głodowaliśmy często, a głównym naszym pożywieniem była przez całe lata kasza jaglana, której żółty kolor pamiętam do dzisiaj. Była ona przyrządzana na różne możliwe sposoby, ale mimo to pozostała tylko kaszą. Od czasu okupacji nigdy nie wzięłam jej do ust, bo jej po prostu nienawidzę. Napojem zaś była jakaś obrzydliwa kawa parzona na burakach cukrowych i słodzona sacharyną. Do smarowania chleba służyła jakaś „melasa” – również z buraków cukrowych. Naprzeciw naszego domu, po drugiej stronie ulicy, była tzw. „głodowa kuchnia”, gdzie potrzebującym wydawano bezpłatnie zupy do garnka dla całej rodziny lub można było zjeść na miejscu. Nieraz korzystaliśmy z tej możliwości, chociaż pamiętam do dzisiaj jak wstydziłam się, gdy ja musiałam iść po tę jałmużnę. Nie wiem kto wtedy taką kuchnię mógł prowadzić (może PCK?) i finansować, bo to przecież była okupacja. Nie znałam wtedy smaku masła ani jajek, a później przez całe życie nie mogłam się do tych „specjałów” przyzwyczaić. Nie mówiąc już o mięsie, które było u nas daniem tak rzadkim, że gdy pojawiło się na stole, ja byłam święcie przekonana, że tego dnia musi być przynajmniej Boże Narodzenie (nawet latem). Pamiętam, gdy chorowałam, a matka zapytała mnie czy chciałabym może zjeść coś dobrego. Ja oczywiście miałam takie życzenie, a było nim ciastko. I wtedy kupiono dla mnie wyjątkowo dwa ciastka (szarlotki), których smak pamiętałam bardzo długo. Jeśli chodzi o ubranie, też było z nim krucho i mieliśmy z bratem jedno palto na zimę (moje), wskutek czego nie mogliśmy wychodzić na dwór razem, gdy było zimno, lecz po kolei. Z braku pieniędzy na fryzjera brat (młodszy

ode mnie o 2 lata) nosił bardzo długie włosy i dzieci na podwórku przezywały go „babą”, do czego przyczyniło się jeszcze i moje palto.

Sprzed wojny miałam buciki i kalosze na nie. Oczywiście zrobiły się one na mnie już za małe, ale musiałam je nosić albo chodzić boso. Nosilałam je więc podkurczając palce stóp jak mogłam, ale najgorzej było, gdy podarły mi się i but i kalosz z tej samej nogi. Ponieważ drugi but i kalosz były całe, poradziłam sobie wkładając prawy but i lewy kalosz na niego i odwrotnie. W ten sposób miałam całe obuwie na obu stopach, ale jak musiały one wyglądać! Na pamiątkę tych moich „wynałazków” do dzisiaj mam odciski na palcach. Miewałam też w tym czasie bardzo dokuczliwy świerz b i wrzodzianki na nogach – podobno z niedożywienia i braku witamin.

Lepiej finansowo było nam tylko przez krótki czas, gdy matka z moją ciotką, mieszkanką Warszawy, handlowały kursując między Warszawą i podchełmskimi wsiami. Na wsi kupowały „rąbankę” i z narażeniem życia wiozły ją do stolicy, gdzie z kolei nabywały za nią różne rzeczy z ubrania. Zawsze opowiadały o kontrolach i łapaniach w pociągach, urządzanych przez Niemców. Najostrzejsze kontrole były w Dęblinie, który nazywały „Gołotczyzną”. Przez ten handel matki nigdy nie było w domu i ja musiałam wtedy zajmować się młodszym bratem i oczywiście sobą. Miałam wtedy bardzo długie i gęste włosy, plecione w grube warkocze. Z tymi włosami nie umiałam dać sobie sama rady i w rezultacie zagnieździły mi się wszy. Nie było już na nie żadnego sposobu i trzeba było ogolić mi głowę do gołej skóry. Na tej skórze zrobił mi się jeden wielki strup, który leczono różnymi maściami. Do szkoły i wszędzie musiałam chodzić w czapce (pilotka z dzianiny), która oczywiście bardzo intrygowała wszystkie dzieci. A ponieważ dzieci potrafią być bardziej złośliwe niż małpy, podczas przerwy wszystkie chciały mi koniecznie tę czapkę zedrzeć z głowy i zobaczyć, jak wyglądam z taką lysą pałą. Musiałam wtedy szybko wskakiwać na ławkę, aby być wyżej od nich i lać ich piórnikiem, aby nie dopuścić do ściągnięcia tej nieszczęsnej czapki. Cierpiałam wtedy oczywiście katusze moralne i nigdy nie miałam spokojnej chwili. Całe szczęście, że włosy mają taką cudowną moc i odrastają.

Wiem, że w Chełmie działało wtedy jakieś podziemie, zresztą jak wszędzie. Raz widziałam, jak Niemcy zastrzelili na naszej ulicy dwóch takich z podziemia i później wieźli ich na wozie, z którego wystawały ich boscie nogi. Innym razem podziemie dało o sobie znać, wydając wyrok na jakąś „paniusię”, która zdradziła Niemcom jakąś tajemnicę. Miała być ona zastrzelona przez wyznaczonych do tego ludzi. Podobno wiedzieli oni dokładnie, że będzie wychodziła z mieszkania o określonej godzinie i wtedy mieli wykonać wyrok. Zaczaili się. I rzeczywiście ktoś o oznaczonej godzinie wyszedł na klatkę schodową. Oni oddali celne strzały i oddalili się będąc przekonani, że wykonali swój patriotyczny obowiązek. Tylko, że zastrzelona została nie osoba, na którą wydano wyrok, lecz może 10-letnia dziewczynka. Wyszła na schody, aby zabrać stojące tam wiadro. W ten sposób zginęło dziecko z wyroku podziemnej Polski.

W pewnym okresie okupacji pojawili się w mieście uciekinierzy z terenów Ukrainy. Byli to Polacy urodzeni na tamtych ziemiach i od pokoleń tam zamieszkali. Gdy zjawili się tam Niemcy, Ukraińcy postanowili pozbyć się nie lubianych przez siebie Polaków, mordując ich i wypędzając z domów. W naszej kamienicy zamieszkały takie dwie rodziny, które nam to wszystko opowiadały. My, miejscowi nazwaliśmy ich „zabuźniakami” (przyjechali zza Bugu), ale poza tym wszyscy odnosili się do nich ze zrozumieniem. Wiem, że Ukraińcy byli również w niemieckim wojsku i wszyscy bali się ich bardziej niż Niemców, bo mordowali oni często Polaków w ich mieszkaniach. Sami kilka razy uciekaliśmy przed nimi do znajomych, gdy urządzali masakry na naszej ulicy. Wszyscy sąsiedzi byli wtedy tak przerażeni, że każdy trzymał siekiere pod ręką, wierząc że może uda mu się przed tymi uzbrojonymi bandytami obronić. My, dzieci nie rozumialiśmy dobrze na czym polega ta okupacja i nie bałyśmy się za bardzo Niemców. Na przykład ja z moją koleżanką przyczepiłyśmy raz nasze sanki do zaparkowanego niemieckiego osobowego auta, licząc że się bardzo szybko przejedziemy. Niemcy od razu zorientowali, że ciągną sanki i kazali nam je odczepić głośno przy tym wrzeszcząc. Zresztą podczas całej okupacji nie słyszałam, żeby oni normalnie mówili, tylko stale wrzeszczeli, dlatego dosyć długo myślałam, że tak właśnie mówi się po niemiecku.

Stosunki miejscowej ludności z Niemcami też były bardzo różne. Słyszałam jak dorośli mówili o takich, którzy witali chlebem i solą najpierw Rosjan, którzy krótko okupowali Chełm, później tak samo Niemców i na końcu znowu Rosjan. Nie wiem czy ludzie ci mieszkali później w Chełmie czy też gdzieś się wynieśli. Wyjechały np. chyba z Niemcami wszystkie „pracownice pufu”, została natomiast ich szefowa, którą nazywano „burdelmamą”. Wyszła ona nawet za mąż i wiodła dalej bardzo bogobojne życie.

Dzieci polskie szybko nauczyły się kilku słów po niemiecku i stale zaczynały przechodzących niemieckich żołnierzy zdaniem: „Herr bitte Bonbon” i często tego cukierka dostawały. Ja tego nie robiłam, bo nie miałam odwagi i bardzo się wstydziłam prosić o taką jałmużnę. Nad pobliskimi łąkami Niemcy zestrzelili kiedyś samolot i byłam świadkiem, jak na spadochronie spadał powoli lotnik – jak się później okazało angielski. Gdy spadł, przykryła go zupełnie czasza spadochronu. Otoczyli go Niemcy, którzy nie strzelali do spadochronu, lecz starali się go unieść bagnietami zamocowanymi na

karabinach. Gdy już unieśli spadochron, okazało się, że lotnik nie żyje i nie ma obu nóg. Podobno zastrzelił się w powietrzu. Pogrzebano go na łące, w miejscu gdzie spadł. My, dzieci stale nosiliśmy tam kwiaty.

Takie to różne wydarzenia składały się na moje dzieciństwo podczas okupacji. Gdy wojna zbliżała się do końca, zaczęły się naloty i bombardowania, ale nie wiem przez kogo były one wykonywane. W mieście było znowu bardzo niespokojnie. Zaczęto rozbijać i rabować sklepy, a my znowu zaczęliśmy uciekać na noc z domu i sypiać w podmiejskich wsiach u różnych obcych ludzi. Pamiętam jak byliśmy schowani w czyjejs kuchni pod stołem (super kryjówka) i wpadli do nas dwaj przerażeni niemieccy żołnierze, którzy jak my schowali się w tej kuchni. Na niebie nocami widać było lecące szeregiem ogniste pociski. Dorośli mówili, że to strzelają rosyjskie katusze.

Sam moment zakończenia wojny przeżyliśmy w wielkiej piwnicy niedaleko browaru. Była to piwnica na wolnej przestrzeni, poza zabudowaniami. Tak się złożyło, że znalazła się ona w samym środku ognia armatniego, bo z jednej strony strzelali Niemcy, a z drugiej Rosjanie. Wtedy myśleliśmy, że nie wyjdziemy z tego cało. Jednak udało się przetrwać. Strzelanina armatnia ucichła. Za jakiś czas ktoś otworzył drzwi naszej piwnicy (było w niej kilkanaście osób) i ukazało się dwóch rosyjskich żołnierzy, którzy powiedzieli, że możemy wyjść, bo wojna już się skończyła i jest wolność. Żołnierze ci byli bardzo młodzi i bardzo odważni. Podziwialiśmy ich, bo zdarzało się jeszcze, że Niemcy ostrzeliwali się uciekając przed napierającą Armią Radziecką. O tym, że idą z nimi również polscy żołnierze jeszcze nie wiedzieliśmy. Dla nas ważne było to, że wolność przynieśli nam i oznajmili o niej ci dwaj młodzi bohaterowie. Stanowili oni zwiad wysłany przodem, inni zjawili się później. Pobliski browar został częściowo rozbity i dorośli chodzili tam i przynosili duże ilości piwa, którym czcili odzyskaną wolność. Ja pobiegłam do pobliskiego strumyka, gdzie brodziłam po płytkiej wodzie, chociaż bardzo się bałam, bo jeszcze często słychać było gwizdy przelatujących kul. Nie wiem czy był to czerwiec czy też lipiec 1944 roku, w każdym razie moje miasto było wolne i przez całe dni i noc ludność cieszyła się i wiwatowała na cześć naszych oswobodzicieli. W budynku gdzie mieści się kino jest wielki balkon i z tego balkonu przemawiały różne ważne osoby, których wtedy dużo zjechało się do Chełma. Ja oczywiście byłam tam zawsze i wszędzie włączając w każdy możliwy kąt, aby tylko móc wszystko widzieć i słyszeć. Bo wszystko to było ciekawe i nadzwyczajne. Podczas przemówień jeden z takich przemawiających wykrzykiwał coraz jakieś hasła, na które zgromadzony tłum bez względu na ich treść krzychał w euforii „niech żyje”. W pewnym momencie dotarło do mnie, że przemawiający krzyczy: „precz z faszyzmem”, na co tłum odpowiada oczywiście wielkim rykiem: „niech żyje”. Pomyślałam wtedy, że ci dorośli są chyba głupi. Byłam wtedy tak zmęczona tym ciągłym święceniem wolności, że siedziałam w końcu na chodniku trzymając stopy w rynsztoku i z tej pozycji z zainteresowaniem chłonęłam wszystko co działo się wokół mnie. Takie to było ciekawe i podniecające. W tych dniach przyjechał do Chełma również słynny zespół artystyczny Aleksandrowa i dawał występy w naszym kinie przy stałe nabitej widowni. Oczywiście i przy mojej ciągłej tam obecności. Zespół ten przepięknie tańczył i śpiewał. Za wstęp oczywiście się nie płaciło, a dla mnie były to niezapomniane przeżycia. Oczywiście nie wiedziałam wtedy, że cała Polska nie jest jeszcze wolna, że wojna toczy się nadal. Chyba przy moich 10 latach niepełnie wszystko było dla mnie wtedy zrozumiałe.

Takie było moje wojenne dzieciństwo w latach 1939 – 1944 i tak to zapadło w moją pamięć dziecka tamtych czasów. Wiem, że wojna i okupacja oficjalnie skończyły się dopiero w 1945 roku, ale moje miasto miało już swoją wspaniałą, kolorową i tak długo wyczekiwaną wolność właśnie latem 1944 roku.